

Zamieszczamy tekst wystąpienia Profesora Stanisława Grodziskiego podczas prezentacji w Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego 4 października 2017 Jego książki pt. *Za trzecim razem. Zapiski uniwersyteckie z lat 1968, '81, 1989* (Wydawca: Karolina Grodziska, Kraków 2017). Jest to tekst spisany z nagrania; za zgodą Autora. (AMK)

## Za trzecim razem

Panie i Panowie, Koleżanki i Koledzy, Przyjaciele,

Ja tutaj, w Uniwersytecie Jagiellońskim, spędziłem w pracy ponad 60 lat. Właściwie była to moja jedyna praca. Dlatego czekałem z opublikowaniem ewentualnych, niektórych przynajmniej, wspomnień. Wtedy, gdy je pisałem, nie miałem żadnych wątpliwości, że kiedyś padnie cenzura i że kiedyś będzie można wyciągnąć je z szuflady. Tylko że wówczas nie byłem optymistą.



Fot. Andrzej Kobos

Kiedy wypadało mówić moim studentom, że przecież nie ma w historii stałych imperiów, że imperia wzrastają, idą w moc i wreszcie powoli zaczynają słabnąć, i upadają – dodawałem wtedy: – „I upadnie to imperium, które jest obok nas, ale ja już tego nie dożyję”. Okazałem się być pesymistą – dożyłem. Okazałem się też pesymistą w czymś innym. Nie ma już cenzury – mogłem napisać to, co chciałem. A więc opłacało się czekać.

Jeśli idzie o inne zagadnienia... W roku 1968 miałem do czynienia z nieciekawym przesłaniem tegoż roku. Byłem wówczas kierownikiem studiów administracyjnych dla pracujących. Nazywało się to ZSA – „Zawodowe Studium Administracyjne”. Przeciętna wieku słuchaczy liczyła około 40 lat, a czasem i więcej. Między innymi z tego powodu, że pracownicy Milicji Obywatelskiej, po piętnastu latach służby w linii, szli na emeryturę, a mieli po trzydzieści kilka lat. Bardzo często chcieli uzupełnić swoje wykształcenie – i przychodzili na studia w ZSA. Dla mnie, jako wykładowcy na tym studium, znakiem rozpoznawczym było to, że przed wielu słuchaczami stały małe aparaciki, jak pióro wieczne, które notowały dokładnie wszystko, co mówiłem – niekoniecznie dla celów merytorycznego zapoznania się z wykładem.

Wydarzenia Marca 1968... Atak milicji na Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gazy łzawiące spowodowały, że przez dwa tygodnie nie można było wejść do tego budynku. Potem podjęte zostały wykłady. Na tych wykładach nagle zabrakło mi około 30 procent słuchaczy, którzy się już nie pojawili. Byli na tym roku wcześniej, lecz aby zapoznać się nie tylko z Collegium Novum, ale z Uniwersytetem w ogóle i z jego pracownikami.

To jest moje osobiste wspomnienie z '68 roku, nie mówiąc o tym, że były i mniej krwiste, a bardziej naukowe zdarzenia, a w szczególności przejścia z cenzurą. Niewiele ich miałem, ale były dość szczególne, a mianowicie kiedy

złożyłem jedną z prac, która dotyczyła Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej po pierwszej wojnie światowej, gdzie wyliczyłem wszystkich członków tej komisji i podałem dane o nich. Drugi przewodniczący tejże Komisji, profesor [Bolesław] Pohorecki, zginął w Katyniu. Trzeba było wymienić Katyń, więc Katyń wymieniałem. Zostałem poproszony na rozmowę. Och, jaką grzeczną. Na rozpoczęcie pytanie: „Panie profesorze, może koniaczek?”. Podziękowałem za koniaczek, przyjąłem szklankę kawy. Zapytałem – „W jakim celu ja tutaj jestem na rozmowie?”. – „No, tak być nie może, to trzeba zmienić – odparł. Albo pan wykreśli Katyń, oczywiście, albo pan napisze, że „zginął w Katyniu w roku 1942”. Wiadomo, co taka zmiana daty miała czytelnikowi przekazać. Zastanowiłem się chwileczkę i powiedziałem – „To ja rzeczywiście przemyślę tę sprawę – proszę o maszynopis”. Już nie było mowy ani o koniaczku, ani o dalszej kawie. Na tym skończyła się ta rozmowa.

Proszę Państwa – niewiele czasu minęło, jeszcze aktualny był tenże rok '68, albo już początek roku '69. Oddałem „bezczenie” po raz drugi ten sam tekst bez żadnych zmian do druku. I bez żadnych zmian, bez żadnych problemów został wydrukowany. Znowu się powiodło. Niewielkie zwycięstwo cieszyło.

Jeżeli chodzi o następny, to tylko powiem, że zostałem – to były już późne lata siedemdziesiąte – dziekanem Wydziału Prawa, na zasadzie tej, że wtedy nie było już na Wydziale Prawa nikogo partyjnego, kto by już tej funkcji nie pełnił i miałby ochotę jeszcze raz ją pełnić. Trzeba było mianować kogoś bezpartyjnego. Mianowanie nie było rzeczą, która by mnie specjalnie satysfakcjonowała, ale przyjąłem tę funkcję w przekonaniu, że będę ją prowadził uczciwie. I może mi się to powiodło, a w każdym razie doszło do 1980 roku, kiedy 1 września '80 rozpoczęły się zajęcia kolejnego roku akademickiego, najpierw egzaminy poprawkowe. Zwołaliśmy wtedy Radę Wydziału, którą wypadło mi poprowadzić jako dziekanowi. Jako pierwszy punkt podałem tajne głosowanie nad votum zaufania dla ekipy dziekana i prodziekana. Po dłuższej dyskusji, którą musiałem przesiedzieć na korytarzu, bo nie wypadło mi siedzieć w sali podczas tej dyskusji, odbyło się tajne głosowanie, w wyniku którego i ja, i prodziekan, profesor Andrzej Zoll, ogromną większością głosów – prawie stu procentową – zostaliśmy wybrani na dziekana i prodziekana. Drugi prodziekan – towarzysz partyjny padł, nie uzyskał większości. Dwa dni później zostałem wezwany do rektora Hessa. Było tam kilkanaście osób. Był reprezentowany komitet wojewódzki PZPR i komitet uczelniany tejże partii, i jakieś inne instytucje. Zebranie rozpoczęło się od ataku na mnie. W miarę jak to trwało, ja – wręcz przeciwnie – uspokajałem się i byłem coraz to bardziej pewny swego. Gdy odmówiłem ustąpienia ze swojego stanowiska, rektor dosyć zmartwionym głosem zapytał: „Panie kolego, to co ja mam zrobić?”. Odpowiedziałem: – „Nic, panie rektorze”. Niech pan da urlop prodziekanowi do końca kadencji, niech mu pan nie cofnie dodatku funkcyjnego, bo czułby się skrzywdzony, a my dwaj, z prodziekanem Zollem, damy sobie radę do końca kadencji. I daliśmy sobie radę. Więc mam prawo mówić, że nie byłem dziekanem z nominacji, bo byłem także z wyboru.

Oto są niektóre istotniejsze elementy moich wspomnień. Dziękuję.